

Wreszcie miałem okazję ponownie usłyszeć brzmienie, które tak urzekło mnie na wielu płytach z muzyką wczesnego modernizmu i późnego romantyzmu. Austriacki dyrygent i skrzypek Ernst Kovacic, który był w latach 2007–2014 dyrektorem artystycznym NFM Orkiestra Leopoldinum, powrócił do swojego dawnego zespołu i wraz z nim świętował swoje 75 urodziny. Salę Czerwoną zalało precyzyjne, pełne, a jednocześnie jakby srebrzyste i księżycowe brzmienie smyczków, idealne dla opowieści o przełomie muzycznych estetyk i światów. Oczywiście Ernst Kovacic współpracuje nie tylko z wrocławianami. W jego muzycznym dossier mnóstwo jest prawykonań muzyki ciekawych twórców z najlepszymi orkiestrami kameralnymi na świecie, jak i własnych koncertów pod batutą dyrygentów odkrywców i myślicieli, takich jak niedoceniany przez polską krytykę sir Roger Norrington czy wszechstronny sir Simon Rattle.



Ernst Kovacic / fot. archiwum artysty

Wieczór w NFM był, krótko mówiąc, nader atrakcyjny. Zadziwiło mnie to, jak celowo chłodne i obiektywne podejście Kovacica do dyrygentury jest angażujące dla słuchacza. Narracja muzyczna w jego ujęciu była nieprzerwanie wciągającą opowieścią, zaś dystans pozostawiał miejsce dla wyobraźni odbiorcy koncertu. Co ciekawe, obiektywizm odzwierciedlenia muzyki wymagał od dyrygenta bardzo zaangażowanej motoryki, pełnej dynamiki. Dawno już nie widziałem tak energetycznej dyrygentury, choć przecież miałem przed sobą 75 latka. No, ale jak wiadomo, dyrygenci starzeją się znacznie później niż inni ludzie, czego dowodem był choćby niezłomny Toscanini, którego znane nagrania, pełne młodzieńczej siły i pędu były dziełem osoby, która w każdym innym zawodzie musiałaby zostać nazwana czcigodnym starcem.

Najważniejszym punktem wieczoru była prapremiera *Livre pour cordes* Friedricha Cerhy (*1926). To dzieło austriacki kompozytor napisał z myślą o Kovacicu jako wykonawcy i po dwóch latach od napisania mogliśmy je wreszcie usłyszeć. Miałem nieodparte wrażenie, że do Wrocławia zjechali się ludzie z daleka, aby usłyszeć tę prapremierę. Nic dziwnego – Cerha to bardzo ciekawy kompozytor, wierny serialnemu dziedzictwu Schönberga, a jeszcze bardziej chyba Albana Berga, gdyż niekiedy, tak jak i kiedyś Berg, Cerha opuszcza gardę dodekafonii na rzecz teatralnego dramatyizmu i poetyckiej emocjonalności. Nie ma natomiast u Cerhy za wiele śladów Antona Weberna, który z „drugiej Trójcy Wiedeńskiej” był głównym prorokiem dla następnych pokoleń kompozytorów. *Livre pour cordes*, zwłaszcza jego skrajne części, w dzisiejszych czasach zabrzmiały niezwykle oryginalnie. Dziś mamy albo nawrót do romantyzmu, albo coraz bardziej roztrzępane przez postmodernizm echa dziedzictwa Weberna. Mało kto jest w stanie powrócić do emocjonalnej głębi i uczciwości Albana Berga. Dla Cerhy, który wsławił się też dokończeniem orkiestracji III aktu opery *Lulu* Albana Berga, kontynuowanie myśli tego wielkiego poety muzyki jest czymś naturalnym. Oczywiście w środku Bergowskich ram przemówił Cerha całkowicie oryginalnym językiem, zdradzającym jego naturę filozofa. Była to rzeczywiście „livre”, coś na pograniczu intymnego pamiętnika i kodyfikującego kodeksu. Cerha to bardzo znany kompozytor, którego muzykę możemy znaleźć na dziesiątkach płyt. W tym roku znana firma szwajcarska Claves wydała na przykład jego dzieła kameralne ze Swiss Chamber Soloist. Jestem przekonany, że do tej bogatej dyskografii koniecznie należy dodać nagranie Orkiestry Leopoldinum z Ernstem Kovacicem.

Pierwszym utworem pierwszej połowy koncertu był *Rhapsod* Zygmunta Krauzego (*1938). To krótkie dzieło zrobiło na mnie duże wrażenie za sprawą nasyconej, elegijnej melodii, która wiła się niemal przez cały utwór z wyrafinowaną prostotą.

Orkiestra Leopoldinum grała rzecz całą z cudowną pełnią brzmienia i mocnym nasyceniem barwowym.

W drugiej połowie koncertu usłyszeliśmy dzieło twórcy współczesnego Brahmsowi i chwalonego przez niego – III Serenadę e-moll op. 21 Roberta Fuchsa (1847–1927). Fuchs był bardzo ważny dla życia muzycznego Wiednia drugiej połowy XIX wieku i pierwszych dekad następnego stulecia. Został zapomniany niesłusznie, o czym świadczy rosnąca w ostatnich latach lista nagrań jego muzyki, dla firm tak znanych jak CPO i z tak cenionymi zespołami jak choćby Kolońska Orkiestra Symfoniczna. III Serenada zdecydowanie potwierdziła konieczność przywracania nam muzyki Fuchsa – kompozytorowi udało się w tym wypadku połączyć lekkość z błyskotliwym warsztatem muzycznym. Serenada zaczyna się intrygującym adagiem, kończy ją natomiast część w stylu cygańsko – węgierskim, żywiołowa i wręcz przebojowa, zupełnie jednak wolna od częstej w takich wypadkach powierzchowności. Orkiestra Leopoldinum zagrała przebojowe Finale alla Zingarese. Allegro con fuoco doskonale, z wielką energią i precyzją, jednocześnie zachowując ów Kovacicowy księżycowy dystans, co samej muzyce tym bardziej wyszło na dobre.

Na koniec koncertu był utwór najbardziej znany, czyli Wełtawa z cyklu Moja ojczyzna Bedřicha Smetany (1824–1884). Aranżacji na kameralną orkiestrę smyczkową dokonał specjalista w tym zakresie, czyli sam Ernst Kovacic i była to chyba najlepsza z jego bardzo dobrych aranżacji, którą słyszałem. Kovacic wspaniale przełożył na język czysto smyczkowy drobne nawet epizody, jednocześnie zachowując spójność całości, opartej na jednej z lepiej rozpoznawalnych w muzyce klasycznej melodii. Odniosłem wręcz wrażenie, że dzięki aranżacji Kovacica rozległy pejzaż rzeki okazał się jeszcze bardziej przestrzenny niż w oryginalnej wersji. Było to piękne wykonanie i gdy

wychodziłem z Narodowego Forum Muzyki myślałem sobie, że portrety rzek są bardzo dobrym tematem dla artystów i chciałbym, aby i Odra doczekała się tak wspaniałego arcydzieła. Póki co mogłem tylko spojrzeć z Mostu Grunwaldzkiego na jej smolistą powierzchnię ocienioną tańczącymi w świetle latarni jesiennymi drzewami i ruszyć na rowerze do domu, przepełniony muzycznymi wrażeniami.